

Kres wiedźm

To miał być początek kresu wiedźm.

Wiedźmy były okrutnymi grzesznicami, które odważyły się znieważać majestat władcy. Mieszkały w lasach lub na obrzeżach wiosek, z dala od miejscowych kościołów. Nie modliły się do Boga, lecz do szatana i jego pomiotów. Rzadko odwiedzały pobliskie miejscowości, ale kiedy już wychodziły ze swoich chat, siały zgorszenie. Zamiast pięknych sukni godnych szlachcianek, gdyż i takie odrażające przypadki się zdarzały, nosiły sukienki przy ozdabiane polnymi kwiatami i kamieniami, które te godne pożałowania poganki nosiły na znak „dobrego ducha”. Jeśli czyjaś córka się do nich przyłączała, ojciec i cała rodzina natychmiast się ich wypierała, a posag palono. Z resztą nikomu nigdy by się on nie przydał, gdyż wiedźmy odmawiały pójścia za mąż.

Wiedźmy nie raz mąciły ludziom w głowach tak, że tracili rozum i się im oddawali; porywały dzieci do lasu i uczyły szatańskich sztuczek; sprzymierzały się z innymi szatańskimi pomiotami, takimi, jak chociaż koty o maści jak smoła; leczyły ludzi podejrzanymi ziołami nie zatwierdzonymi przez żadnego księdza czy znachora. Stanowiły zagrożenie dla wszystkich wiernych, więc kościół zawzięcie z nimi walczył. Nasz kapłan, ojciec Jan, postanowił w moim rodzinnym mieście stworzyć specjalną grupę mającą za cel nadrzędny tępienie wiedźm i dopilnowanie, aby odpowiadały za swoje czyny. Niestety nie otrzymywaliśmy wsparcia od samego króla – wydał on dekret pozwalający tym bezbożnikom na azyl i odciął wszystkie środki na naszą i nam podobne grupy zwane „Korpusem Boskiej Sprawiedliwości”.

W nocy zwołano nadzwyczajne zebranie Korpusu, na którym ojciec Jan zdecydował o wysłaniu ochotnika na niebezpieczną misję pochwylenia wiedźm mieszkających w lesie niedaleko murów miasta. Mój ojciec był rycerzem króla, a ja sam byłem szkolony w tej sztuce od wczesnego dzieciństwa, więc kiedy zostały wypowiedziane słowa: „tylko najmężniejsi z was będą mieli odwagę pójść do ich chaty i porwać jedną z nich, i tylko ci śmiałkowie naprawdę wypełnią boską misję”, od razu się zgłosiłem.

Spakowałem wóz, którym miałem pojechać do lasu. Już wyjeżdżałem, kiedy spotkałem Annę, która właśnie wracała do domu z balu swojej ciotki. Usłyszała, gdzie jadę i nie dała mi spokoju, dopóki nie pozwoliłem jej wybrać się ze mną. Przysięgła, że będzie siedziała cicho i zaczeka w wozie, ale jakiś czart popchnął ją w złą stronę.

Droga do ziemi zamieszkaney przez wiedźmy wiodła przez gęsty las. Byłaby całkowicie bezpieczna, gdyby nie czyhające wśród drzew czarty i wielkie bagno, za którym droga spadała mocno w dół, stawała się niemalże urwiskiem, przez co trzeba było zostawić wóz

oraz konie, narażając się tym samym na ataki wiedźm. Jeden z miejskich kupców, Zdzisław, twierdził, że któregoś dnia wracał tamtędy do domu i zauważył wiedźmy wychodzące ze swojego domu. Według jego relacji posiadały przynajmniej trzy małe chatki do których można dojść wydeptaną wśród liści ścieżynką. Jadąc rozglądałem się za nią i kiedy w końcu ujrzałem ją w świetle mojej starej lampy, odmówiłem modlitwę, zabrałem miecz, i wyskoczyłem z wozu.

Byłem już pod oknem starej drewnianej chaty służącej wiedźmom za sypialnię i miałem przystąpić do akcji, lecz Anna potknęła się o gałąź. Chcąc jej pomóc podbiegłem do niej. Niestety diabeł ogonem nakrył mój rozum i po zebraniu ukochanej z ziemi, posadziłem ją na stojącej tuż przy kamiennym spichlerzu skrzyni. Skrzynia była nakryta siecią rybacką, która okazała się być pułapką. Jakiś tajemniczy mechanizm wyniósł nas do góry i odgłosem krowiego dzwonka zawiadomił wiedźmy o naszym przybyciu.

Z sieci wypłatała nas młoda niewiasta o kasztanowych włosach. Na białą koszulę nocną zarzuciła zielony płaszcz a na miednicy trzymała pas z pochwą na nóż. Znałem ją z opowieści ojca Jana i przyjaciół z Korpusu. Nazywała się Elwira i była niegdyś córką bogatego kupca. Przed dwóch laty uciekła od ojca, od tamtej pory pokazywała się w mieście raz na dwa miesiące i zawsze w tajemniczy szatański sposób uciekała przed próbującymi ją złapać ludźmi ojca.

Chwilę później pojawiła się inna dziewczyna, dużo młodsza, ubrana w luźną czerwoną sukienkę i przyniosła ze sobą linę oraz miecz, który podała Elwirze. Ją znałem z rynku, gdyż nie raz towarzyszyła wiedźmom w zakupach u lokalnych sprzedawców. Podobno była sierotką, która pewnego dnia zbłądziła w lesie i została porwana przez lokalne bezbożnice.

Zanim się zorientowałem wstało słońce, a ja i Anna siedzieliśmy skrępowani na krzesłach w budynku pełnym ziół. Dziewczynka wyszła zawołać resztę wiedźm. Natomiast Elwira, odebrawszy mi wszelką broń, wzięła kilka ksiąg z dużego regału i rozłożyła je na stole. Siedzieliśmy tak w ciszy przez prawie godzinę.

Dwie wiedźmy weszły do drewnianej chatki. Ich nie widziałem w części szatańskiego kompleksu służącej jako sypialnia. Musiały przesiadywać gdzieś indziej. Pierwsza z nich miała długie, jasne włosy i pogniecioną niebieską sukienkę, którą zaczęła prostować w momencie wejścia do środka. Druga, nieco niższa od swojej towarzyszki, ubrana w fioletowe odzienie, nosiła na usianej brązowymi lokami głowie lekko przekrzywioną chustę.

- Czyżby Korpus? – spytała ta w niebieskiej sukni.

- Tak... – odparła Elwira. – Proponuję zabawić się z chłopakiem, a dziewczynę zostawić. Co o tym sądzisz, Bogumiło?

- Przetrzymajmy go do nocy. – Kobieta w chuście na głowie usiadła przy stole naprzeciwko mnie. - Zobaczymy, jak radzi sobie po ciemku z wilkami.

Wszystkie wiedźmy zaśmiały się.

- Jeśli nie wrócimy do południa, ojciec Jan naśle na was swoich rycerzy. W imieniu Boga nakazuję wam, abyście natychmiast nas wypuścili!

- Patrzcie dziewczyny, trafił nam się rycerzyk z krwi i kości – zaczęła wiedźma w niebieskiej sukni przystrojonej polnymi kwiatami. – Macie rację, trzeba coś z nim zrobić. Może Ania coś proponuje?

Spojrzałem w prawo, gdzie siedziała moja narzeczona. Uśmiechała się i patrzyła w stronę Elwiry.

- Może najpierw mnie rozwiążecie, Wojciecho?

Kobieta nachyliła się nad Anną i uwolniła ją z więzów. Elwira podbiegła do niej, objęła ją w pasie i.. Pocałowała.

Odjęto mi mowę. Wiedźmy odebrały mi moją ukochaną. Nawróciły na wiarę szatana... Ścisnęło mi serce. Zapraǳnęłem zemsty. Wymordować je wszystkie w imię boże – ta jedyna myśl siedziała mi w głowie.

- Może nie róbcie tego przy dziecku? – rzekła Bogumiła. - Kahna dopiero co skończyła siedem lat, jest jeszcze za młoda, aby zrozumieć, czym jest miłość.

- Przecież to ty pozwalasz jej dotykać miecza – wtrąciła Wojciecha.

- Tak, bo Elwira co prawda potrafi zająć się nieproszonym gościem, ale...

- Ale?

- Potrafi być strasznie zapominalska co naraża ją na niebezpieczeństwo!

- Wypraszam sobie! - krzyknęła wspominana wiedźma.

Kiedy cholerne bezbożnice zaczęły się kłócić ja spróbowałem sam wydostać swoje ręce z więzów. Po chwili, która zdawała się być wiecznością, byłem już wolny. Złapałem leżący na stole miecz. Ten sam, którym Elwira groziła nam tuż za nim nas związała. Ten sam, którym według ojca Jana wiedźmy zabijały zwierzęta ofiarne dla ich pogańskich bogów, pomiotów szatana.

Lecz nie zaatakowałem. Nie ruszyłem się nawet – oto któraś z wiedźm rzuciła na mnie urok.

Spojrzały na siebie po czym zebrały się wokół jeden z leżących na stole ksiąg. Za to ta mała szatanica cały czas wbijała we mnie swój wzrok...

Nie mogłem zaczerpnąć oddechu. Przeklinałem w myślach wiedźmy, kiedy poczułem coś jakby uwolnienie, odprężenie. Zacząłem dziękować Bogu, lecz wtem moja skóra zaczęła pokrywać się sierścią.

Wszystko – meble, wiedźmy, nawet ptak, który właśnie wleciał do chatki – z każdą sekundą stawało się mniejsze. Miecz spadł na ziemię. Po może dwóch minutach przemiana była dopełniona – moje ręce i nogi zastąpiły czarne jak noc łapy, wyrósł mi ogon i wzrok wyostrzył.

Nie wiem co działo się chwilę potem, jak zareagowały te pomioty szatana. Wiem tylko, że rzuciłem się do szczeliny w oknie i wypadłem na zewnątrz. Biegłem, ile sił w... łapach. Po jakimś czasie dotarłem do mojego miasta. Byłem głodny i spragniony, więc uradowałem się, kiedy zobaczyłem przepiękną wieżę kościoła, w którym służył ojciec Jan. Wszedłem do środka i skierowałem się do piwnicy, gdzie mieściła się siedziba Korpusu Boskiej Sprawiedliwości.

Jako pierwszego spostrzegłem mego druha, Zygmunta. Podbiegłem do niego z chęcią wykrzyczenia co zaszło – znalezieniu wiedźm, zdradzie Anny... – ale on mnie nie rozumiał. Oburzył się tylko, że jakieś szatańskie kocisko drapie mu nowe spodnie... Tak samo było z każdym kolejnym napotkanym rycerzem Korpusu. Zero pomocy, wsparcia... Dopiero wtedy zrozumiałem, że z mojego gardła wydobywają się jedynie miauknięcia, których znaczenia oni nie znają. W końcu zjawił się Ojciec Jan, który... Wyrzucił mnie na ulicę.

Błąkałem się jeszcze wiele godzin. Nie mogłem uwierzyć w co się stało...

Zamknęłam księgę. Przez chwilę nie mogłam w to uwierzyć. Co prawda zawsze byłam podejrzliwa i sceptyczna, ale teraz trzymałam w ręce kolejny niezbitý dowód...

Od roku odkrywałam historię mojej rodziny. Najpierw okazało się, że w średniowieczu dorobiliśmy się majątku, który straciliśmy tuż przed rozbiorami. Tropý zaprowadziły mnie do biblioteki, gdzie znalazłam kilka podań o mojej prapraprapraprapara... cioci. Otóż według wielu ludzi Elwira Puchała była wiedźmą. Przed chwilą skończyłam czytać pewną historię, według legendy przekazaną przez rycerza zamienionego w kota. Mógł przemówić tylko w Wigilię Bożego Narodzenia. Któregoś roku wykorzystał okazję i opowiedział wszystko kronikarzowi... Trochę bujdy na resorach. Całe szczęście znalazłam kilka innych, nieco wiarygodniejszych źródeł.

Wiedźmy były niebezpieczne tylko według konserwatystów. Ciotka Elwira, Bogumiła i Wojciecha – które były dla niej jak matki – jej ukochana Anna, i malutka Kahna... Zajmowały się ziołolecznictwem, wróženiem, uczyły czytać ludzi, których nie było stać na edukację i same były wykształcone. Nie było w tym nic złego!

Wiedziałam, że nikt mi nie uwierzy. Mit o strasznych, wpychających dzieci do pieca wiedźmach jest już zakorzeniony w społeczeństwie. Mimo to jeszcze tego samego dnia zebrałam wszystkie materiały w jeden esej, jeden dokument.

Siedziałam na kanapie z laptopem na kolanach. Świece paliły się na stoliku roznosząc po pokoju woń lawendy i szalwii.

Były Dziady. Nie wiem, jak ta informacja znalazła się w mojej głowie. Po prostu wiedziałam, jak na wiedźmę przystało. Moje „wiedźmowskie geny”, jak to mama mawia, podpowiadały kolejną rzecz – wino.

Coś mnie tknęło. Kierowałam się pierwszymi, jakby pierwotnym odruchami. Wyciągnęłam butelkę czystego alkoholu (według przepisu dziadka Zygmunta), zapaliłam jeszcze dwie świece, postawiłam koło nich miski z jedzeniem. Nie miałam pojęcia co robię – o odprawianiu prądawnych obrzędów wiedziałam tyle co nic, a może nawet mniej. Czekałam jednak aż coś się wydarzy.

Pociągnawszy łyk czerwonego wina pomyślałam o cioci Elwirze. Czułam, że mamy wiele wspólnego. Że się nie różnimy, rozumiemy bez słów. Ryzykowałam cały swój dotychczasowy dorobek naukowy próbując pokazać prawdziwe oblicze wiedźm, a ona mogłaby udzielić mi odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania..

Kiedy tak siedziałam bez celu przyszła ona – Elwira.

Usiadła na fotelu. Jej suknia była poszarpana od spodu, jakby zaatakował ją wilk. Przeleciawszy wzrokiem po moich regałach uśmiechnęła się szeroko.

- Nie bój się. Swojej nic nie zrobię.

Jej głos był żywy, czysty, ale ciało pokrywała blada poświata. Siedziała spokojnie jakbym wcale nie mogła zobaczyć czerwonego obicia mebla przez jej brzuch.

- To nie..

- Nie może być prawda? Jeszcze wiele musisz się nauczyć. Zaczniemy od zebrania materiałów do twojej pracy, dobrze? Pokażę ci parę miejsc.

Wyciągnęła do mnie rękę. Niepewnie podałam jej swoją. Elwira wstała i powoli, nie spuszczając ze mnie wzroku, wyprowadziła z pokoju.

Drzewa spowite w czerń, gałęzie niby wystające kości. Wycie wilków i oddalone huczenie sowy. Księżyc w pełni zasłaniany przez nieregularne cienie jakby ktoś przelatywał tuż nad nami.

Gdzieś pomiędzy drzewami stała Elwira. Teraz wyglądała żywiej, zarys jej sylwetki stracił nieco blasku a ubrania nabrały tekstury. Widziałam nawet szczątki jakiś kwiatów przyszytych do boku sukni, chyba stokrotek.

- Zgadniesz gdzie jesteśmy? – spytała.

Rozejrzałam się dookoła. W ziemi nie było nic niezwykłego – ubity grunt, gdzieniegdzie wystające kamienie. Drzewa podobnie, nic z nich nie wychodziło, zero pajęczyn na gałęziach. Drewno jak drewno, skała jak skała.

Ale horyzont był już znajomy. Nie żebym w dzieciństwie tam jeździła, ja po prostu... Wiedziałam. I tyle.

Nad linią drzew wznosiła się góra o charakterystycznym płaskim szczycie. Łysica. Góra wiedźm.

- Tu wszystko się zaczęło. Było w miarę spokojnie.

Z drzewa zleciała postać, niby kobieta, o sowich skrzydłach, czerwonych oczach i ostrych jak brzytwa zębach. Wyciągnęła długie i blade jak ściana ręce, aby pochwycić Elwirę, ale ta tylko jednym krokiem zeszła z linii lotu, szepnęła jakieś zaklęcie, i potwora co sił w nogach popędziła do lasu.

Spojrzałam na moją przodkinię. Zaczęłam głęboko się zastanawiać, co rozumie przez słowo „spokojnie”. Czyżby dawniej oznaczało ono „niebezpiecznie z dodatkiem krwiożerczych potworów”?

- Nie mamy za wiele czasu..

Nie słuchałam jej. Szybko połączyłam kropki – to, co zasłaniało księżyc, było tak naprawdę wiedźmami spieszącymi się na sabat. Tam na górze siedziały dziesiątki, może setki czarownic. Mogły mieć odpowiedzi na wszystkie moje pytania, mogłam poznać prawdę. Miałam przy sobie telefon, więc mogłam to wszystko nagrać. Kto wie, może wiedźmy miały swój alfabet i całkiem przypadkiem zabrały ze sobą jakiś przepis, właśnie spisywały zaklęcia?

Ruszyłam. Nie zważałam na krzyki Elwiry, po prostu biegłam jakby jutro miało nie nadejść. Próbowałam przypomnieć sobie zwroty po staropolsku, rosyjsku i w kilku innych językach –

Elwira mówiła współczesną polszczyzną, ale założyłam, że to tylko moja niezdiagnozowana schizofrenia płata mi figla, a na Łysicy mówi się samymi archaizmami.

Przeskoczywszy wystający z ziemi konar wbiegłam na wijącą się w górę wąską ścieżkę i omal co nie wpadłam na drzewo. Po szybkich oględzinach okazało się, że zahaczyłam stopą o jakiś kamień. Wtedy także zauważyłam jeden szczegół – wyszłam z domu bez butów. I kurtki. A była chłodna noc. Do tego chodziłam w wysłużonych wojskowych spodniach i nie miałam pojęcia, jak więdźmy zareagują na takiego dziwnego przybysza.

Adrenalina musiała już wyparować z mojego organizmu wraz z potem, ponieważ zaczęłam dostrzegać swoje otoczenie. Ciemność, Chors jako jedyne źródło światła i wycie wilków. Dorastałam w okolicy, w której wilki były tylko starą pogłoską, to też ich obecność w pobliżu wydawała mi się nierealna. Za to dla wilków byłam całkiem realnym źródłem pożywienia. Straciłam z oczu ścieżkę. Nigdzie nie widziałam ducha Elwiry.

Sięgnęłam do prawej kieszeni spodni. Kompas w metalowej oprawce nadal tam był. Błyskawicznie wyznaczyłam północ. Miałam nadzieję, że to pomoże i zaprowadzi mnie na sabat.

Niestety wilk znalazł mnie przed więdźmami. Przypominał nie co człowieka, więc wniosek mógł być tylko jeden – to dwumetrowe monstrum o czarnej sierści było niczym innym jak wilkołakiem. Zrobił krok w moją stronę. Teraz dzieliło nas około dwadzieścia metrów. Dla niego zapewne dwa lub trzy kroki.

Próbowałam sobie przypomnieć jak według legend zabija się wilkołaki. Czosnek? Alergię ma Drakula, nie ten tutaj. Kolek? Znowu nie ten koleś, do tego nie widzę w pobliżu niczego, co mogłoby się nadać. Sprawdziłam kieszenie. Opaska na włosy, chusteczka i... łopatką. Najwyraźniej zapomniałam ją odłożyć, ale przynajmniej może mi pomóc.

Trzymając łopatkę przed sobą postąpiłam dwa kroki w tył. Wilkołak zawarczał. W lesie rozległ się śmiech. Zerknęłam w bok, ponad zbocze góry – byliśmy już wysoko, do szczytu brakowało niewiele. Mogłam dobiec na sabat przed rozpoczęciem wilczej uczty. Zrobiłam kolejne dwa kroki w tył. Coś wbiło mi się w stopę. Wilkołak zaatakował. Uskoczyłam z krzykiem przed szarżą i odruchowo kopnęłam w, jak mi się zdawało, powietrze. Przeciwnik był jednak na tyle duży, że trafiłam w bok, tuż przy tylnej łapie.

Wilkołak zaskomlał, więc spróbowałam kopnąć po raz drugi. Po chwili wilkołak uciekł. Tak po prostu odbiegł.

Przysiadłam pod drzewem. Wyciągnęłam ze skarpetki kawałek metalu. Miał osiem ramion ułożonych w okrąg. Ramię przypominało nieco kosę, zwróconą w prawo. Na pięciu

ramionach, nawet w tym bladym świetle, widać było ślady krwi. Z jednej strony była tylko jedna czy dwie kropelki, za pewne właśnie to ramię wbiło mi się w stopę. Jednak po przeciwnej stronie kołowrotu metal wręcz ociekał krwią. Tą częścią dostał mój znajomy wilkołak.

- Jestem pod wrażeniem – powiedział znajomy głos. – Opuściłaś przewodniczkę, ale udało ci się pokonać biesa.

Wstałam i odwróciłam się. Elwira stała z założonymi rękami na jakimś głazie. Przez ramię miała przerzuconą torbę, a raczej coś w rodzaju przerobionego worka na zboże, a z torby wystawało jakieś pudełko. Jej oczy były zimne, niemal przeszywały na wylot moją duszę.

- Mam to, czego potrzebujesz, więc możemy już wracać.

- Wracać?! Przecież tu jest pięknie! – Sama nie wierzyłam, że to mówię.. Ale to było spełnienie moich marzeń. – Błagam, zostańmy tu chociaż na chwilę. Masz jakiś łuk? Wolałabym nie walczyć samymi stopami.

Elwira podeszła bliżej i złapała mnie za rękę.

- Wracamy. Już.

W miarę jak szeptała jakieś zaklęcie, jej dłoń stawała się coraz zimniejsza i coraz żywsza. Czułam, jak po wierzchu mojej ręki spływa jakaś ciecz. Wyczułam przecięcie na skórze Elwiry.

Nie rozumiałam, o co jej chodzi, dlaczego opuszczamy to miejsce. A raczej te czasy. Mogłam zbadać wszystko bez potrzeby patrzenia przez pryzmat jednej teorii, zdobyć autentyczne źródło, zobaczyć prawdę.

Wiedziałam już, że swego rodzaju magia istnieje, a kilkaset metrów dalej było jej skupisko tak silne, że Elwira, która nie żyła od 400 lat, krwawiła. *Duch krwawił*. Krwią ludzką, jakby ktoś zapomniał. Gdybym się tego nauczyła, mogłabym porozmawiać z każdym człowiekiem z każdego możliwego okresu, rozwiązać wszelkie wątpliwości, uderzyć paru ludzi prosto w twarz..

Sceneria zaczęła się zmieniać. Drzewa wokół nas na przemian rosły i upadały, znikwały ścięte przez drwali. Niebo migotało, jakby siedzący wśród obłoków bożek bawił się włącznikiem. Koło mnie wyrosła maleńka drewniana chatka. Z każdą mijającą sekundą Elwira bladła, rana na jej dłoni się powiększała, kolana pod nią się ugiwały, a sukienka zdawała się być bardziej poszarpana niż zwykle. W którymś momencie musiałam ją podtrzymać, aby nie wpadła prosto w dopiero co powstałe bagnisko.

Podróże w czasie musiała ją wyczerpywać. Podejrzewałam, że do „kolebki” dotrzeć było o wiele łatwiej, nawet po tysiącach lat, niż chociażby sto lat w przód. Pytanie co rozumiemy przez „przód”. Dla Elwiry to mógł być piątek po jej śmierci, ale dla mnie wspomniany dzień to już przeszłość. Dlatego musimy chyba założyć, że utrudniona jest podróż..

Horyzont zmienił się. Oddalałyśmy się od Łysej Góry coraz dalej w kilometrach i dniach.

Bardzo chciałam ją puścić i zatrzymać się choćby na jeden dzień, tyle by mi wystarczyło. W którymś momencie na horyzoncie mignęła jakaś armia, a moje serce ścisnęło się z żalu.

Rynek otoczony kamienicami, na samym środku gotycki kościół. Ludzie załatwiający swoje sprawy na małym targu. Grupa młodych chłopaków w kolczugach stojąca pod ścianą jednego z budynków, chyba karczmy.

Elwira zemdlła. Świat przestał się kręcić i wpadłyśmy do jakiegoś zaułka.

Zerwałam się z ziemi i rozejrzałam dookoła. Kilka metrów dalej w witrynie jednej z kamienic stały... książki. Miałam przed sobą jedną z pierwszych, jeśli nie pierwszą księgarnię w Polsce lub Europie. Jeden pies, mogłam kupić jakiś znaczący tekst i zabrać go w swoje czasy.

Oczywiście najpierw trzeba było się przebrać, bo raczej nie polubią bosej dziewczyny w spodniach i zapewne rozczochranych włosach. Do tego Elwira nadal nie wstawała z ziemi.

- Elwira, obudź się! – Spróbowałam potrząsnąć dziewczyną, ale bez skutku.

Schowałam do kieszeni ten metalowy kołowrót, który znalazłam na Łysicy. Znalazłam małe wiaderko z wodą albo czymś co wyglądało jak woda i wylałam zawartość prosto na twarz mojej przodkini.

- Co.. Gdzie my jesteśmy? – Pomogłam Elwirze usiąść pod ścianą.

- Ty mi powiedz, ja nie znam się na podróżach w czasie.

Spodziewałam się, że Elwira będzie znowu przeźroczystym duchem. Dopiero kiedy jej dotknęłam, uświadomiłam sobie, że jaskrawa poświata wokół jej sylwetki całkowicie zniknęła, rana na ręce zagoiła się, a kwiaty na sukience jakby odżyły. Czułam, że trafiłyśmy do jej czasów.

Wiedźma rozejrzała się po budynkach. Jej wzrok zatrzymał się na kościele i stojących pod nim mężczyznach. Też tam spojrzałam. Mój wzrok nie jest najlepszy, ale zauważyłam podchodzącego do nich chłopaka. Prowadził ze sobą małą dziewczynkę, mogła mieć co najwyżej jedenaście lat. Próbowła się od niego uwolnić, kopała i tupała. Krzyczała coś, ale z tej odległości nie potrafiłam nic zrozumieć.

Za to Elwira musiała ją rozpoznać, bo mrucząc pod nosem jakieś przekleństwa, których aż boję się powtórzyć, wstała i chwiejnym krokiem ruszyła w ich stronę. Przyznaję, przez chwilę byłam oszołomiona – znalazłam się w jeszcze ciekawszych czasach, a duch odzyskał swoje ciało. Jednak to dziwne przeczucie o zbliżającej się katastrofie nie dawało mi spokoju i kazało iść za dziewczyną.

Staralam wtopić się w tłum, co łatwe z pewnością nie było. Pożyczałam jakiś stary, długi płaszcz z najbliższego straganu i precyzyjnie przesuwałam go przez tłum. Nikt nie zwracał na mnie większej uwagi, a przynajmniej tego nie zauważałam. W miarę jak zbliżałam się do kościoła, pomiędzy gwaru wyluskiwałam słowa tej dziewczynki.

Wywnioskowałam, że tamten chłopak musi być jej starszym bratem, a ona wiedziała coś o wiedźmach z miejscowego lasu. Ci mężczyźni musieli w takim razie być członkami tego całego Korpusu. Skoro to czasy Elwiry, to.. Mogą je znaleźć.

Ktoś pociągnął mnie za ramię i wylądowałam na bruku za wozem z krowim łajnem. Nie rozumiał, dlaczego ktoś przyjechał z tym na rynek, ale akurat tego wołałam chyba nie wiedzieć.

Elwira przyklękła koło mnie. Jej oczy i policzki były zaczerwienione, jakby miała się zaraz rozpłakać. Przetarła twarz rękawem sukni po czym wyciągnęła z torby sztylet. Podała mi ją, mówiąc:

- Na północ stąd jest las. Nie zatrzymuj się i nie przyjmuj od nikogo podwózki. Po przekroczeniu pierwszej linii drzew, skręć na wschód. Potem pójdziesz wzdłuż strumyka aż do małej groty. W środku będzie stał duży kufer. Kiedy już tam dotrzesz, wyciągniesz z torby naszyjnik z czarnym kamieniem w środku. Otworzysz nim zamek. W kufrze powinno być kilka buteleczek, trochę ziół i dziennik Wojciechy. Tam będą wszystkie instrukcje jak wrócić do domu. Jeśli chcesz, zabierz to co tam znajdziesz i całą torbę do siebie, i użyj do swojej pracy.

- A co z tobą?

Nie chciałam jej opuszczać. Ciągle miałam do niej tyle pytań – czy ta historia z rycerzem zamienionym w kota wydarzyła się naprawdę, na czym dokładnie polegała ich magia, czemu większość tego, co dzisiaj widziałam i słyszałam, nie przetrwało nawet w legendach, a co dopiero rzetelnych źródłach.. – a nie wiedziałam nawet, czy jeszcze się zobaczymy. I co się zaraz wydarzy.

- Ja już znam zakończenie tej historii. – Uśmiechnęła się blado. – Pojawiłam się u ciebie, aby dopełnić swojego przeznaczenia. Będzie mi dane odpocząć. Może nawet zminimalizuję straty... Błagam cię, dowiedz prawdy. Jestem pewna, że dasz radę. Masz w sobie ten dar.. Idź już, idź! Nie mogą cię złapać.

Przerzuciłam torbę przez ramię. Wstałam i powoli, nie oglądając się za siebie wyszłam z rynku. Potem zaczęłam biec. Przystanęłam w jakiejś bocznej uliczce, aby wyciągnąć kompas i sprawdzić kierunek.

Koło mnie pojawił się czarny kot. Uwielbiam koty, ale nie było szans, żeby ten tutaj był szczepiony. Do tego patrzył na mnie, jakby chciał, aby pewnego słonecznego dnia w jego misce pojawiło się moje serce. Najlepiej z aromatem duszy zesłanej do piekła.

Nie proście o wyjaśnienia, ale ten kot był rycerzem z opowieści, którą znalazłam w archiwum. Dowód? Wbił swoje pazury w moją nogę po czym zaatakował torbę. Najwyraźniej wyczuł, że jestem wiedźmą a na domiar złego spokrewnioną z dziewczyną, która odebrała mu ukochaną.

Ale przecież nie odpowiadamy za swoich przodków, prawda?

Zrzuciłam go na ziemię i ile sił w nogach ruszyłam w stronę lasu. Biegąc kamiennymi i polnymi drogami nie mogłam przestać myśleć o Elwirze. Miałam nadzieję, że da mi odpowiedzi, ale na razie pozostawiła jeszcze więcej pytań – dlaczego ktoś tak potężny musiał czekać prawie cztery stulecia, aby dopełnić się jakieś przeznaczenie? Dlaczego ja? Czy objawiała się innym dziewczynom z naszej rodziny, zabierała na przygodę lub wprost prosiła o pomoc? No właśnie, dlaczego nie powiedziała mi, że ma do wykonania misję? Czy to możliwe, że do żywej jeszcze Elwiry przyszedł ja, pogadałyśmy dosłownie minutę, po czym wszechwiedząca wiedźma ze łzami w oczach wysłała nieznajomą do lasu, a teraz po prostu dokańcza krąg czasoprzestrzenny?

Nic nie miało sensu, więc po prostu szłam w ciemniejący z każdą minutą świat, jakby wcale nie goniły mnie demony przeszłości i przyszłości. Kiedy w końcu dotarłam do leśnego strumyka, Księżyc właśnie rozpoczynał swój bieg, już bez konkurencji Słońca.

Przykłękałam nad strumykiem. Byłam wyczerpana i zdyszana po kilku godzinach biegu. Wyjęłam z torby drewniany kubek ozdobiony tajemniczymi znakami. To musiała być jedna z tych rzeczy, które Elwira zabrała z sabatu. Tak naprawdę to, jak zauważyłam podczas którejś przerwy na oddech w trakcie biegu, w starym worku mieściła się teraz prawdziwa skarbnica. Miałam teraz szczelnie zamknięte pudełeczko, prawdopodobnie z biżuterią i ziołami (szmatka, w którą owinięto puzderko była usiana okruszkami zasuszonej pokrzywy, czyli jedynej rośliny, którą rozpoznałabym wszędzie), dwa co najmniej tysiącletnie kubeczki – jeden drewniany, drugi ceramiczny – oba idealnie zachowane, oraz starą księgę. Niestety była zamknięta na kłódkę, a powiedzmy, że otwieranie zamków wsuwką to bujdy na resorach. Chociaż wszystko co zobaczyłam w ciągu ostatnich kilkunastu godzin też powinno być tylko bajką, a nie jest.. tak czy siak, spinki chwilowo nie posiadałam.

Ostrożnie nabrałam wodę ze strumyka. Na powierzchni coś zamigotało. Odbicie ognia, jakby pochodni..

Do moich uszu dobiegły nawoływania i szczekanie psów. Oraz wycie wilków. Już przeklinałam w głowie wszelkie stworzenia związane z wilkami, a już zwłaszcza wilkołaki, oraz ludzi tej przeklętej sekty Korpusu, kiedy ktoś przyłożył mi do pleców ostry jak brzytwa szpikulec. Odwróciłam się.

Nade mną stała dwunastolatka. Miała brązową suknię i pas pełen torebeczek, zapewne z ziołami. Nie pamiętam żadnych szczegółów oprócz jednego – jej policzek paskudziła strużka krwi. W ręce trzymała miecz. Nawet nie zarejestrowałam kiedy przyłożyła zimną klingę do mojego gardła.

- Ktoś ty? – spytała.

- Przyjaciółka. Jesteś Kahna, prawda? Musisz się ukryć. Korpus zaraz tu będzie.

Staralam się mówić powoli i wyraźnie, ale to chyba na nie wiele się zdało, ponieważ dziewczynka sama zauważyła nadchodzące niebezpieczeństwo. Po prostu rzuciła mi pełne bólu spojrzenie i odbiegła. Ot tak darowała życie.

Pomyślałam, że skoro w tej grocie było coś tak potężnego, że mogłam przenieść się z powrotem do moich czasów, to może coś zmienię, uratuję je. Ale szybko przyszło opamiętanie – historii zmienić się nie da. Można tylko prostować nieścisłości, obalać mity. A ja w głębi duszy czułam, że to jest właśnie ta noc z 20 na 21 czerwca, kiedy Korpus złapał cztery wiedźmy i po pseudo-sądzie zabił. To była ich ostatnia akcja. Zaraz potem ich rozwiązano, a przywódcę skazano za morderstwo. Mimo tej wiedzy miałam szczerą ochotę samodzielnie wymierzyć sprawiedliwość. Kahna była jeszcze dzieckiem..

Dopiłam wodę, zabezpieczyłam kubeczek, poprawiłam torbę na ramieniu, założyłam prowizoryczny opatrunek na rozciętą po tyłu godzinach szalonego biegu na przełaj przez las stopę, po czym ruszyłam dalej wzdłuż strumienia.

Nie myślałam wiele, czułam tylko nienawiść do całego świata i wzrastające poczucie niesprawiedliwości. Dlaczego urodziły się w tamtych czasach, dlaczego je to spotkało? Ile jeszcze było takich przemilczanych lub zmanipulowanych historii? Kahna była jeszcze dzieckiem..

Ze łzami spływającymi po policzkach wpadłam do dużej, ciemnej groty. Przez wejście za moimi plecami wpadło światło księżyca. W oddali słychać było odgłosy bitwy, grzmotów i łamanych gałęzi. Zobaczyłam wielki, drewniany kufer otoczony dębowymi gałęziami. Podeszłam bliżej i z bijącym jak oszalałe sercem wyciągnęłam z torby naszyjnik. Na rzemyku, pośrodku czerwonych koralików, zawieszono metalowy pierścień. Zamiast palca wciśnięto tam czarny jak smoła klejnot, nie miałam jednak pojęcia jaki dokładni. Kamienie nie są moją specjalnością.

Ledwo zbliżyłam go do zamka, a wieko otworzyło się. W środku, zgodnie z tym, co mówiła Elwira były trzy pęki jakichś ziół, dwie butelki z brunatną substancją oraz oprawiony w skórę dziennik. Szybko przewertowałam jego kartki i na samym końcu znalazłam odpowiednie zakłęcie. Znam kilka starożytnych języków, ale nie byłabym w stanie powtórzyć co było tam napisane. Szczerze powiedziawszy z trzeźwym umysłem trudno było to nawet rozczytać.

Sięgnęłam po jedną z buteleczek. Otworzyłam ją w chwili, w której do moich uszu doszedł czyis krzyk:

- Anna! Ania, nie!

A potem rozdzierający serce płacz.

To była Elwira. Według relacji jednego z rycerzy Korpusu w trakcie aresztowania Anna została ugodzona w brzuch strzałą przez jednego z łuczników. Wspomniany łucznik zmarł niedługo później w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Podobno tuż przed wykonaniem wyroku przez Korpus, Anna, w gorączce, przeklęła rycerzy, a kiedy w końcu wszystkie cztery wyzionęły ducha, w kościele naraz zgasły wszystkie świece. Tyle o tej historii mówią źródła. Nikt nigdy nie trudził się wspomnianiem o tym, że w trakcie akcji rozpętała się straszliwa burza. Na moich oczach piorun uderzył tuż koło Elwiry, ale ona klęczała tylko nad Anną, próbując opatrzyć jej ranę.

Były zaledwie kilkanaście metrów od groty. Coś mówiło mi, że i tak nic nie zmienię, więc skupiłam się na swoim zadaniu.

Przyłożyłam buteleczkę do ust. Cokolwiek w niej było, pachniało obrzydliwie. Odwróciłam głowę i po raz ostatni napotkałam wzrok Elwiry. Obie wiedziałyśmy, co zaraz nastąpi. Jedyne co mogłam teraz zrobić, to zasalutować.

Złapałam jedną ręką kuferek i wypiliśmy brunatną substancję.

Przez chwilę świat wirował. Potem uspokoił się i znikł całkowicie, zapanowała ciemność. Jak w filmie po kłatkowym widziałam przebliski przeszłości. Rewolucja, wojna, ludobójstwo, protest, jakiegoś naukowca pracującego w laboratorium i tak dalej, i tak w kółko, aż w końcu wylądowałam na swojej kanapie.

Zerwałam się i rozejrzałam. Wszystko wyglądało tak samo, tylko słońce wdzierało się przez okno. Pies sąsiadki właśnie próbował wysikać się na moje świeżo rozkopane podwórze (mieszkam tu, ponieważ według niektórych badaczy w ziemi może kryć się coś wartościowego historycznie i nie musielibyśmy walczyć z pozwoleniem do właściciela bla, bla, bla..).

Spojrzałam na ekran laptopa. Zegar wskazywał kwadrans po siódmej. Nie było mnie co najmniej dziewięć godzin. A może spałam co najmniej dziewięć godzin? Ponownie się rozejrzałam.

Koło kanapy stał kuferek, a w nim jakiś worek. Nie, torba pełna artefaktów, lekko przybrudzonych ziemią. Nogawki wojskowych spodni były podziurawione, a z prawej strony wystawała gałązka. Stopy były zaczerwienione i zakrwawione, jedna z nich była owinięta chustą. Kieszenie, zwykle przepełnione sprzętem, karteczkami, papierkami po cukierkach i bliżej nie zidentyfikowanymi przypadkowymi rzeczami, miały jedną nową zawartość – metalowy kołowrót z zaschniętą krwią.

Na laptopie migał kursor. Dokument z esejem był otwarty. Pierwsze zdanie brzmiało:

„Oto początek *Kresu starych wiedźm*”.